22. Listopada. **Nr. 4.** 1867 roku.

Wychodzi co **piątku**, z dodatkiem **muzykaljów, mód, wzorów i krojów.**
Cena do końca b. r. . . — złr. 50 ct.
z dodatkiem . . . . . 1 „ — „
za pięć miesięcy . . . 1 „ 50 „
z dodatkiem . . . . . 3 „ — „
rocznie z przesyłką . . 4 „ 60 „
z dodatkiem . . . . . 8 „ 60 „

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

Moskal.

Powieść z ostatnich czasów

nie Bolesławity.

(Ciąg dalszy).

Kilka rysów w rozdziale poprzedzającym dały nam poznać Michała. Brzydził się on służalczością moskali, ale do przekonań polaka — zdaniem jego — nie miał prawa; dumnym był ze swej polskości, ale zarazem czuł gniotące go brzemie ojcowskiego moskwicyzmu... Ci ludzie mówią doń jak do jednego ze swoich; a gdy się dowiedzą: kim jest? czy nie zadrzą o swe bezpieczeństwo, pomyślawszy, że Michał z ich nieoględności może skorzystać w duchu carskich ukazów?... Toż nie dziw, że rozmowa, którą prowadził, łamała go. Serce biło gwałtownie, twarz bladła to okrywała się gorączkowym rumieńcem; wreszcie sił mu zabrakło, i jęknął zcicha do Adama.

— Oh, czy mię pan nie wyratujesz?... Wszak ci ludzie nie wiedzą kim jestem...

Adam zrozumiał ten jęk młodego serca — silnie uścisnął Michała za rękę, i rzekł:

— Jesteś szlachetnym, i to ci daje prawo do naszego towarzystwa. Ty nie jesteś moskalem.

— Ale i nie polakiem — smutnie dokończył Michał.

— Tylko człowiekiem! — zawołał Adam z zapałem. — Wraz z nami brzydzisz się niewolą, wraz z nami chcesz swobody szczęścia miljonów.

— O, chcę! — odwtórzył Michał — i gdybym miał tysiąc razy umrzeć — umrę! byle swobody zajaśniało słońce, byle n i e w o l n i c y stali się l u d ź m i.

— Michale! znam cię od roku, ale teraz dopiero poznałem. Witaj mi bracie z ducha!... Panowie! ojcze! — zawołał zwracając się do towarzystwa — oto nowy bojownik przybywa do naszego grona! — Przyjmijmyż go sercem, bo z sercem do nas przychodzi.

— Panie Michale — rzekł poważnie hrabia — znam cię oddawna jako zacnego młodzieńca. Pochodzenie jest u nas niczem! Człowieka — przyjmujemy cię do naszego grona, i witaj nam bratem!

Adam z rozczuleniem uściskał Michała, obecni zbliżyli się doń, ze słowami serdeczności.

Młodzieniec stał przez chwilę w milczeniu; wreszcie ciche łzy spłynęły po jego twarzy.

— Więc uznaliście we mnie człowieka — zawołał rozczulony — nie jestem tedy sam, mam braci w narodzie... O! dzięki wam, dzięki! Powiedzcie: co mam uczynić, by dowieść, że nie omyliliście się na mnie? Chrztu! na to życie odrodzenia, czynu! by przezeń wkupić się w człowieczeństwo.

— Bliżej do tego, aniżeli mniemasz — rzekł hrabia.— Adamie! powiedz towarzyszowi jakie miejsce ma zająć w organizacji, a my tymczasem dokończymy odczytanie odezwy Centralnego Komitetu.

— Jeszcze jedno! — zawołał Michał; a znać było, że walczy ze sobą. — Ojciec mój...

— Nie mówmy o tem — przerwał mu hrabia.

— Prawda, tak będzie dobrze! Moja tu obecność zasłoni was przed podejrzeniem policji... Ha, ha! szpiega chcieli mieć we mnie; ojciec chciał hańby własnego dziecka...

W tej chwili dano znać hrabiemu, że jakiś człowiek chce się z nim widzieć koniecznie i natychmiast.

— Proś go — skinął hrabia, a za chwilę wszedł do salonu — piśmowoditiel.

Michał krzyknął przerażony; Iwan Iwanowicz zakrztusił się, ujrzawszy syna sprawnika, i zgiął się w łuk ukłonu.

— Do jasnego hrabiego — rzekł — maluczki mam interesik; ale jeżeli łaska, chciałbym na osobności...

— Przedewszystkiem: kto pan jesteś?

— Panie hrabio! — zawołał Michał — każ wypędzić tego nikczemnika! on to jest, o którym mówiłem przed chwilą.

— To jeszcze pytanie kto z nas jest nikczemnym; bo ja tu właśnie względem pana sprawnikowicza przybyłem, by hrabiego przestrzedz... — Dokończenie usłyszała służba w sieni, wyprowadzając piśmowoditiela.

— Nie udało mi się! — mówił Iwan Iwanowicz, wsiadając na bryczkę. — Ale dobrze wiedzieć, że było ośmiu mężczyzn, a pan Misza jakoś czule patrzył na wszystkich... Hm! ten Misza zawsze mi w drogę wlezie. Ha! nie chciałeś być s z p i j o n e m — może zostaniesz buntownikiem — to i lepiej dla mnie, bo cię poszlę paść sobole!... Trzeba to nad tem pomyśleć...

W domu hrabiego trwały narady. Nowy członek organizacji Michał, po złożeniu przyrzeczenia, zobowiązał się propagować pomiędzy włościanami myśl o swobodzie, i zarazem zawiadamiać organizację o rozporządzeniach rządu, przesyłanych na ręce jego ojca. Hrabia ponownie przyrzekł opiekę nad Różą, a młody Adam, na pożegnanie, serdecznie uścisnął kolegę. Umówiono się, że w razie potrzeby, Adam znajdzie Michała w dworku Barskich.

— Bądź zdrów!

— Do widzenia, w dworku!

Michał dosiadł konia, i teraz dopiero poczuł wielkość przemiany jaka w nim zaszła: do hrabiego jechał niewolnik; powraca — człowiek. O! wiele robi przeświadczenie, że się jest człowiekiem.

Michał już bez obawy może pomyśleć o Róży, bo go nie odepchnie jako wroga swej ojczyzny.

Uśmiechnęła mu się błoga przyszłość...

Z myślą o niej wjechał do znanej wioski. Zatrzymał konia przed dworkiem. Kur pjał północ, we dworku było cicho... Rózia śniła o kwiatkach, aniołach... może o nim?...

— Dobranoc! — szepnął młodzieniec — duszo mojej duszy, dobranoc!

Za przybyciem do domu, doniósł paniczowi Wańka, że ojciec dużo pił *wodki,* płakał, przeklinał i wołał Miszę do siebie.

— Biedny ojcze! — westchnął młodzieniec — i ty byłbyś człowiekiem, gdyby caryzm nie zabił w tobie szlachetnych popędów. Wolności, swobody nam trzeba, bo nigdy nie będziemy ludźmi!

Świt już łamał się z ciemnościami nocy; Michał śnił o przyszłości, o swem odrodzeniu... Sprawnik w gorączce wołał syna i modlił się do *pokojnej;* Iwan Iwanowicz przemyśliwał nad zgubą wszystkich i nad posiadaniem Róży.

— Musi być moja! — zawołał, zasypiając; a i we śnie warczał na ludzi ten carski kondel.

*

* *

Michał tak roskosznie śnił o Róży: przyjęła go serdecznie... zapomniała, że jest moskalem, dawszy swą przyjaźń, miłość...

Serce mu biło gwałtownie, gdy nazajutrz zbliżał się do dworku. Sądził, że z głową podniesioną stanie przed wybraną serca, godny jej, bo jest człowiekiem... Niestety! na widok tych pięknych oczu, tej wiotkiej postaci znikła pewność siebie, i ból serca był dowodem, że przedziału istniejącego pomiędzy nim i Różą nie wypełniła chwila wczorajsza.

— Nie! nie! — westchnął boleśnie — znamienia niewolnictwa nic nie zetrze z czoła! nigdy się do niej nie zbliżę!...

A Róża była tak dobrą jak wczoraj, tak powabną jak zawsze, chociaż dzisiaj więcej już poważną...

Młodzieniec tonął w tem spojrzeniu niebiańskiem, upajał się uśmiechem — i zapominał o wszystkiem. Wiedział, że kocha; czuł, że ubóstwia małą sierotę — i świat cały przestał dlań istnieć, o przyszłości nie myślał.

Tak mijały dnie w upojeniu; a gdy Michał wymógł na sobie chwilę zastanowienia się nad swym stanem, wówczas złudzenie przesuwało przed jego oczyma czarowny obraz miłości Róży... może dziś, może w dniu jutra... i szczęście, szczęście bez granic i miary!...

I sen jest życiem...

Razu pewnego, gdy oddychając wonią lip ocieniających dworek, duszą wsłuchiwał się w nutę piosenki, którą śpiewała Róża, drzwi otwarły się, i do pokoju wszedł Adam.

Czy to, że obcy zastał ją sam na sam z mężczyzną, czy z innego powodu, Róża na widok młodego hrabiego, spłonęła jak rzeczywista róża, i jasne oczęta skierowała ku ziemi, nie śmiąc spojrzeć na nowego gościa; a serduszko tak zabiło w piersiach, że je musiała drobną przytrzymać rączką.

Michał i Adam również byli czegoś zmieszani... i troje młodych stało przez chwilę w niewytłumaczonem zaambarasowaniu.

Adam pierwszy odzyskał przytomność.

— Pani przebaczy — rzekł do Róży — że poważyłem się tutaj szukać kolegi; ale rzecz nagli, a on był tyle dobrym, że przyrzekł mię pani przedstawić.

Róża spłonęła ponownie; Michała dziwny jakiś owjał smutek, i omal nie zapłakał, gdy mu wypadło powiedzieć, przedstawiając:

— Hrabia Adam.

— A nie strasz że pani czczym tytułem! — zawołał wesoło Adam. — Jestem poprostu kolegą Michała, i czuję, że od tej chwili zostanę na zawsze przyjacielem pani.

To mówiąc, wziął jej drobną rączkę, i do ust przycisnął.

Pocałowanie elektryczną iskrą przebiegło po ciele dziewczęcia; w piersi szczególniejsze rozlało się ciepło, w oczach mętno... Róża musiała się oprzeć o krzesło, tak nogi jej drzały. Pierwszy to raz coś podobnego doświadczyła w życiu; a chociaż Adam od chwili był zajęty rozmową sam na sam z Michałem, Rózia pomimo wysilenia, nie mogła nań spojrzeć, chociaż chciała, bardzo chciała... Zła była na siebie i śmiać się miała ochotę, że takiej prostej rzeczy nie była w stanie uczynić: nie mogła popatrzeć na gościa.

— Oto są kopje rozporządzeń gubernatora — mówił Michał, oddając papiery koledze. — Miałem nie mało trudności, zanim je ojcu wykradłem; Iwan Iwanowicz śledzi was. Miej się na baczności, Adamie!

— Dziękuję ci, kolego — odpowiedział Adam, chowając papiery. — Niedługa chwila, kiedy zajaśnieje nam dzień swobody, dzień szczęścia...

— Dla mnie go nie będzie — smutnie rzekł Michał.

— Raczej już jest. Na honor! szczerze ci winszuję narzeczonej.

Michał zadrżał.

— Cożto! zdajesz się być nie zadowolonym ze swego losu? Wszak ją kochasz?...

— O tak! — odpowiedział Michał — ale ja nie mam prawa do jej ręki — jestem moskalem.

— A mój kolego, tego nadto! Oskarzam przed panią niedobrego Michała — mówił, zwracając się do Róży.— Martwi mię, a siebie gryzie myślą dziwaczną... — I rozpoczął dłuższą rozmowę, wynosząc przymioty duszy i serca Michała, tłumacząc, jak dalece przestał być moskalem, porówno z polakami pragnąc wolności i szczęścia miljonów.

Adam niezawodnie miał dobre intencje; chwaląc Michała, szczerze chciał go postawić wyżej w opinji Róży, by raz już znikło uprzedzenie dzielące ją od człowieka, którego całą winą było, że się urodził synem moskiewskiego urzędnika — ale skutek rozminął się z założeniem.

Róża całą duszą słuchała słów Adama, z czcią patrzyła w tę twarz natchnionego mowcy, który tak wymownie bronił swego towarzysza; i gdy mówić przestał, gdy samą została — jeszcze w duszy dziewczęcia, uroczem echem, brzmiał głos jego dźwięczny; w sercu miała jego pełne szlachetności wypowiadania się; a twarz Adama mięszała się do jej wieczornych modlitw, aż we łzach musiała przed nią szukać ratunku, i z łzami temi, z twarzą tą usnęła, widząc go, słysząc, i ocknąwszy się nazajutrz szukała wzrokiem — Adama.

Młody hrabia częstym bywał gościem we dworku. Roboty organizacyjne wymagały częstych usług od Michała, a porozumiewać się z nim mógł Adam tylko we dworku Barskiego.

Adam poważniał z dniem każdym, patrząc na Różę i Michała. Towarzysz jego smutniał, i wewnętrzna troska zmarszczkiem myśli wybiła mu na blade czoło.

Oczki dziewczęcia nabierały szczególniejszego blasku, i młodą pierś częściej podnosiło westchnienie. Róża nie wiedziała co się z nią dzieje; czuła tylko, że dobrze jej w towarzystwie Adama, dobrze z myślą, że go jutro obaczy, że usłyszy jego głos dźwięczny.

Tak płynęło życie trojga, gotując się na nowe wypadki.

(C. d. n.)

Do J. Tr.

w dzień jego wyjazdu z Włoch do Szwajcarji.

Wczoraj witałem, dziś żegnać muszę —
Powiedzieć prawdę? Mnie serce boli...
Ja zrozumiałem twą wielką duszę,
I twoich myśli polot sokoli.
Przeczułem bracie, że w twojem sercu
Tyle tam światła i kwiatów tyle,
Ile na polskiej łąki kobiercu...
Czemuż tak krótkie roskoszy chwile,
Czemuż mię rzucasz? O, wierz mi bracie!
Gorzko zapłączę po twojej stracie,
Bo już marzyłem o tej przyjaźni,
Co się nie kończy i w zimnym grobie,
Której złośliwy świat nie rozdrażni,
Co całą miłość zestrzela w sobie.
Jakim wyrazem, obliczem jakiem
Na mnie patrzyła!...
Ha! trudna rada,
Ty gdzieś helweckim pobiegniesz szlakiem,
Staniesz gdzie grzmiący strumień upada,
Alp niebotycznych obaczysz szczyty,
Oko młodzieńcze wlepisz w błękity —
I ani spojrzysz na te równiny,
Gdzie ptak rodzinny swe gniazdo lepi.
Patrz młody bardzie w nieba krainy,
Niech tam na górze twój duch się krzepi,
Tam pojmiesz wielkość, tam myśl bez końca...
A gdy już będziesz myślami możny,
To wtedy jeden promyczek słońca
Rzuć drogi bracie na duch bezdrożny,
Na mój duch!

AJO.

Florencja 19. września r. 1865.

Pod Magentą.

(z Fedkowicza.)

Hej gdzie pole, to pole,
Lecą ptaki sokole,
Lecą - latają,
Tęskny głos wydają,
Aż mię serce boli!

Poco smutek na czole?
Poco w sercu twem bole?
Harmaty zagrają,
Kule zaśpiewają,
Ciesz się, wesel sokole!

Będzie jutro wesoło,
Gdy zaświeci w około
Słońce na niebie —
A chłodny trup z ciebie.
Hej hulaj bracie, wesoło!

Jasne słonko wschodziło,
Chmurą twarz swą okryło,
Działa wygrywały,
I krew rozlewały,
By się nie patrzyło.

— Na żołnierskie ubranie
Spojrzyj matko, kochanie,
Ta odzież syna,
Krew i kalina,
Czyś ty poznać mię w stanie?

— „Poznam syna mojego,
Mam cię tylko jednego,
Jedynego syna,
Piękny jak kalina
Z ogródka naszego.“

— Nie dla twego to syna
Matko, kwitła kalina!
Tam wysoka mogiła —
Jego *drużka* to miła,
Żona twego to syna.

Jego żona, stokrótko!
Jutro rano, raniutko
Jedwabnej ja trawie
Zielonej murawie
Pokłonię się niziutko.

Pokłon oddam ja memu
Hetmanowi młodemu.
Hej panie, panie!
Dawaj ślub hetmanie,
Kozakowi młodemu.

— „Pójdę w twoje ja swaty
Tam, gdzie grają harmaty,
Przywiodę *drużynę*.“
— Hej panie mój, ginę!
Nie płacz matko mej straty...

Autobiografja orjentalisty Polaka.

Podał Łucjan Tatomir.

(Dokończenie).

Nazajutrz przybywa do mojej kaźni urzędnik i każe mi wsiąść na wózek moskiewski, jakiego używają do transportowania w Sybir. Ja sam i wszyscy, którzy ze mną byli, mieli mię za zgubionego. Stało się jednak inaczej. Stawiony byłem przed cesarzem, i dostąpiłem jego łaski. Ponieważ wszystkie miejsca w instytucie orjentalnym były zajęte, powiedział cesarz: «Więc będzie moim pensjonarzem, zapłacę za niego osobno.» Pensję tę pozostawił mi cesarz nawet jeszcze wtedy, kiedy już wstąpiłem do instytutu orjentalnego, a to w nadgrodę mojej niewymownej gorliwości i namiętnej żądzy nauki.

Pozdawawszy jak najlepiej wszystkie należące do tego zawodu egzamina, przydzielony zostałem najprzód do moskiewskiej ambasady w Konstantynopolu; następnie mianowano mię drogomanem przy konsulacie w Salonice; a w kilka lat później wicekonsulem w Jaffie i Palestynie. Oddawałem się z szczególniejszem zamiłowaniem badaniom numizmatyki orjentalnej, i doszedłem w tym przedmiocie do rzadkiego mistrzowstwa. Korzystając z otrzymanego urlopu, zwiedziłem Damaszek, Haleppo, i objechałem prawie całą Małą Azję, głównie w celu zbierania rzadkich monet całych dynastyj. Z Beirutu i Smyrny powróciłem do Konstantynopola, zkąd jednak powołany zostałem niebawem przez Odesę i Moskwę do Petersburga. Zaczęto bowiem podejrzywać mój sposób myślenia, jakkolwiek nic mi nie udowodniono. [3]) W Petersburgu mianowano mię profesorem języków wschodnich, ale bez stale oznaczonej dotacji. Od tego czasu stał się powrót do Prus celem życzeń moich, który też w końcu szczęśliwie, jakkolwiek nie bez wielkich ofiar, osiągnąłem.

Jako poddany pruski znalazłem w Berlinie opiekę przed prześladowaniem moskiewskiem, i od roku 1844, otrzymawszy stopień doktora od uniwersytetu w Halli, zostałem tutaj mianowany lector regius języków wschodnich, ale także bez stałej pensji. W Berlinie zabrałem się z natchnionym zapałem do opracowania fałszywego przekładu Sękowskiego «Collectanea,» tłumacząc wiernie orjentalny tekst, w nadziei, że Polacy będą zachwyceni tą pracą. Oszukałem się jednakże bardzo. Musiałem sam z moich szczupłych dochodów ponieść koszta druku, i dzieło wyszło pod tytułem: «Nowy przekład dziejów tureckich.» [4]) Następnie podałem do druku opracowane już w Petersburgu dzieło pod tytułem: *Nummi Mahomedani*, [5]) dołączywszy doń 15 tablic wiernych wizerunków najrzadszych monet orjentalnych. Bobrowicz księgarz lipski kupił odemnie następujące rękopisma: 1) Opisanie moich podróży w 3 tomach; 2) Wojny Polaków z Turkami, tłumaczone z tureckich historjografów w 3 tomach; 3) *Envary Suheili* Pilpaja w 3 tomach. (Słowo Pilpai poczytywano dotąd błędnie za imię jakiegoś autora; są to najwyborniejsze bajki moralne pisane w języku Zend; w tekscie oryginalnym jest py-pai, co znaczy: «pij morał, którym cię napawam.») Było to wielkiem dla mnie nieszczęściem, że ten księgarz zbankrutował, trzy te dzieła bowiem dotąd niewydanemi leżą w rękopiśmie. Są one owocem długoletniej pracy, mozolnych studjów i doświadczeń, i bardzo to dla mnie bolesne, że prawdopodobnie zaginą równocześnie ze śmiercią autora! — Teraz przychodzi mi wspomnieć o jednej z najważniejszych i najboleśniejszych chwil mego życia.

W podróżach moich uzbierałem był sobie taką rzadką i doborową numizmatykę, iż mogłem się słusznie spodziewać, że przez nią potrafię zapewnić sobie mój byt. Tutaj w Berlinie nie znalazłem pomiędzy orjentalistami ani jednego takiego znawcy, któryby ją umiał ocenić. Udałem się więc osobiście do Londynu. Zbiorem moim zainteresowałem bardzo znawców; ale aby krótko skończyć o tej bolesnej sprawie dla mnie, powiem jednem słowem — nie mogłem sprostać handlarskiej sprytności Anglików, połączonej z szachrajstwem. Jak wszyscy, którzy życie swoje poświęcają nauce, nie miałem i nie mam zmysłu do interesów pieniężnych; zostałem tedy oszukanym i to tak haniebnie, że dzisiaj sam się zdumiewam nad mojem niedoświadczeniem.

Zubożałem zupełnie i obarczyłem się nawet długami, które musiałem zaciągnąć na dwukrotną podróż do Londynu. Pozostała mi tylko zemsta. Postanowiłem tedy nie wydać z rąk moich za żadną cenę naukowego katalogu

[3]) W roku 1838, będąc wicekonsulem w Palestynie, wyprawił był Pietraszewski dwie rodziny żydów polskich z Jaffy do Jerozolimy na wielbłądach znajomych sobie Fellachów. Żydzi ci zostali jednakże napadnięci przez będących w zmowie z tymiż Fellachami Beduinów, którzy ich obdarli do naga, zamordowawszy dwoje osób. Pietraszewski, do którego zaniesiono skargę, zajął się gorliwie tą sprawą, zjechał osobiście na miejsce popełnionej zbrodni, wyśledził zbrodniarza i oddał go w ręce władzy krajowej w Jerozolimie. Ale Ibrahim Pasza, naczelny rządca Syrji, podzieliwszy się ze zbrodniarzem zrabowanemi rzeczami, kazał go wywieźć do Tarsu i tam go uwolnić, na miejsce zaś jego osadził w więzieniu w Jerozolimie jakiegoś kalekę, który oczewiście zbrodni tej popełnić nie mógł, gdyż był ślepym i miał obcięte wszystkie palce u prawej ręki. Uznano tedy niewinnym owego mniemanego zbrodniarza, podczas kiedy rzeczywisty zbrodzień śmiał się w oczy wicekonsulowi, spotkawszy się z nim w Halepie. Oburzony tem Pietraszewski chciał wykryć podłość władz syryjskich, lecz przez to naraził się jeneralnemu konsulowi moskiewskiemu w Egipcie, który podał go w podejrzenie u rządu w Petersburgu i stał się powodem jego odwołania. „Jeneralny konsul moskiewski graf Medem, pisze Pietraszewski, mieszkający w Aleksandrji, obrażony widocznie gorliwością moją w wykrywaniu na jaw publiczności, podłych, tyrańskich, słowem złodziejskich rządów wicekróla egipskiego, przy którego dworze mile był widziany, srogo mi przykazał zaniechać tej żydowskiej sprawy, odmówił mi nawet swej pomocy, jeślibym się kusił jeszcze dalej rzecz tę prowadzić, ścigając zbrodniarza; nie potwierdził mi zwrotu poniesionych kosztów w całej tej sprawie, a nakoniec oczernił mię denuncjacją do Petersburga, splamił czyny moje, zatruł życie na czas długi, bo mnie za jego przyczynieniem się odwołano do stolicy północy, i przywiódł do zupełnego upadku.“

[4]) Przed wydaniem powyższego dzieła ogłosił Pietraszewski za staraniem jednego z ziomków niektóre ustępy z przekładu poselstw tureckich w Przeglądzie Poznańskim, który rękopism autora podług swojego sposobu widzenia rzeczy przykroił i skastygował. Z żalem wspomina o tem Pietraszewski w przedmowie do pomienionego dzieła: „Barwa i powaga jakiejś świętości, w którą przebrało się to pismo perjodyczne (Przegląd Poznański), nie dozwoliły umieścić dosłownego przekładu mego, gdyż zdawało się, że zbyt naiwne są dla Chrześcjan myśli Giaura muzułmańskiego — i obcięto mu poły tak kuso, zwłaszcza w objaśnieniach niezbędnych dla muzułmańskiej sprawy, że ja sam zaledwo pracę moją poznać mogę: „Obdarłes róże, pozostały ciernie!“ Takowa dysekcja miała zaraz swój skutek, bo krzepki ktoś w zarozumieniu, a suchotnik w pojęciach języków wschodnich osądził w moment, że one niczem innem nie są, jak tylko dziecinną fleksją.“ Ta okoliczność przyspieszyła wydanie całego dzieła, z którego jednakże tylko pierwszy tom wyszedł dotąd z druku pod tytułem: „Nowy przekład dziejopisów tureckich, dotyczących się historji polskiej, a szczególniej Tarychy Wasyf Efendego“ Berlin B. Behr. 1846.

[5]) Dzieło to ma następujący tytuł: „*Nummi Mahomedani. Fasc. 1 continens; Nummos Mamlukorum dynastiae, additis notabilioribus dynastiarum: Moavidarum, Carizmschachorum, Mervanidarum, Ortokidarum, Karakojunlu. Seldschukidarum, Atabekorum, Fatimidarum, Aiyubidarum, Hulagidarum et regum Siciliae. Acced. XV. tabulae.“ 4 maj. Berolini 1843* Alex. Duncker.

mojej numizmatyki i w przytomności tych, którzy moje niedoświadczenie tak nieuczciwie na swoją korzyść wyzyskali, wrzuciłem go w ogień, pomimo że mi setki funtów zań ofiarowywali. Był to oczewiście czyn bardzo nieroztropny, ale człowiek w uniesieniu nie zastanawia się nad tem co czyni. Tak spełzła na niczem nadzieja zapewnienia sobie bytu przez sprzedaż monet moich.

Żeby nie uledz pod tym ciosem i nie poddać się rozpaczy, albo nie popaść nawet w szaleństwo, postanowiłem sobie niezłomnie (1850 r.) zabrać się do tłumaczenia ksiąg Zaroastra, owego najstarożytniejszego pomnika religji perskiej. Nie było to rzeczą łatwą. Brałem te księgi więcej niż dziesięć razy do ręki, były one jednak zawsze dla mnie niezrozumiałemi hieroglifami. Niepodobna opisać ile mię kosztowało pracy nauczenie się alfabetu, jak zacząłem tłumaczyć najprzód za pomocą perskiego, tureckiego i arabskiego języka. Zabrałem z biblioteki królewskiej wszystkie dzieła odnoszące się do tego przedmiotu, i przetłumaczywszy pięć razy cały tekst, nie mogłem przecież nic więcej wydobyć, okrom zdań bez związku i ładu. Poznałem jednakże przez to dokładniej tekst pierwotny, wżyłem się weń niejako. Brzmiał on jakoś ze słowiańska. Nareszcie przejrzałem jasno, jak gdyby mi mgła z oczów spadła. Zacząłem tłumaczyć za pomocą słowiańskich języków i — radość wyciska mi łzy jeszcze teraz gdy to piszę — powiodło się; przed oczyma mojemi odsłonił się i rozjaśnił najstarożytniejszy i najważniejszy pomnik słowiańskiego narodu. Wtedy ożywiło mię natchnienie, podniosła mię myśl, że pracuję dla braci moich, dla dziejów moich ojczystych. Z jakimże to zapałem pracowałem wtedy, jak sobie wszystkiego odmawiałem, spodziewając się, że u Polaków znajdę uznanie i pomoc. Niestety! miało to być tylko powtórne, bolesne złudzenie! Zdobywszy się na wydrukowanie w całej obszerności pierwszego tomu Zoroastra, rozesłałem setki egzemplarzów; ale mało kto zaufał mi, a nikt mię nie zrozumiał!

Zostałem znowu bez pomocy, ale nie straciłem odwagi i zapału do dalszej pracy. Wtym właśnie czasie wezwał mię minister, abym jako dragoman towarzyszył poselstwu tureckiemu do Persji. Byłem już podówczas starcem, liczącym dobrze z górą sześćdziesiąt lat; zdrowie moje było sponiewierane pracą i niedostatkiem; przyjąłem jednakże wezwanie, aby przysporzyć sobie środków do dokończenia druku mojego przekładu ksiąg Zoroastra. W Teheranie byłem bardzo lubiany i poważany, bo znałem obyczaje, charakter i język Muzułmanów jakby ich współrodak. Sam Szach ofiarował mi stałą posadę z wielce ujmującą łaskawością; lecz ja chciałem kończyć moje dzieło ku sławie i chwale Polski; nie przyjąwszy więc i w Konstantynopolu proponowanej mi przez posła pruskiego hr. Goltz'a posady, powróciłem do Berlina. Za pomocą środków, zdobytych wśród tysiąca niebezpieczeństw, doprowadziłem do skutku mój zamiar, [6]) ale moi bracia nie zrozumieli mię!

[6]) Pomieniony przekład nosi taki tytuł: *„Zend-Avesta ou plutot Zen-Daschta expliqué d'aprés un principe tout a fait nouveau. Le texte est accompagné d'une prononciation, de traductions polonaise et française, et suivi d'un vocabulaire et d'une grammarie.“ Berlin 1858 i 62*, Hande et comp. Spener tomów 3. 8 str. XXXII. i 881. — Gramatykę języka Zend wydał Pietraszewski także osobno p. tyt.: *„Abrégé de la grammaire Zend.* Berlin 1861 Trowizsch et Sohn 8 str. IV. i 58.

Przebywszy ciężką chorobę w skutek uderzenia apoplektycznego, zabrałem się na nowo do przekładania ksiąg Zoroastra; ale teraz już na język niemiecki. Ta praca splotła się z życiem mojem, stała się ona dla mnie tem, czem jest dla matki to dziecię, które ona najtrudniej z największemi bolami na świat wydała. Wyłożyłem wszystko a wszystko na druk pierwszego tomu niemieckiego przekładu. Wyszedł w Berlinie w r. 1864 i obejmuje *Zendawasta* i *Wyspered.* [7]) Korzyść jakąś mógłbym zeń mieć dopiero wtedy, gdybym mógł wydrukować wykończony już w rękopiśmie tom drugi (obejmujący najwznioślejszą ze wszystkich ksiąg *Jasna*) i to prędko, bo licząc lat 71, nie pozostaje mi już wiele czasu do życia. Lecz z czegoż opędzić koszta druku?... Często bardzo nie wystarcza mi nawet na chleb powszedni, a moja wierna towarzyszka ma nie mało trudu, aby zaopatrzyć dom w to, co niezbędnie do życia jest potrzebne. Oby Bóg zechciał polepszyć moje położenie!›

Fotografje kobiet.

Przez I. L.

II.

Z różnych stron dochodzą nas zapytania: czy nie zamyślamy opisywać także fotografij panien? Otrzymaliśmy nawet kilka listów bezimiennych, zawierających takie fotografje, wraz z dołączonymi własnoręcznymi opisami charakterów i różnych niezrównanych przymiotów ciała, serca i duszy, zdobiących żywe oryginały tych wizerunków, pochodzących z pracowni Szajnoka, Rodeckiego, Edera i t. d. Każdy list kończy się prośbą o zamieszczenie opisu w Nowinach; przyczem autorka poddaje się wszelkim zmianom, jakieby redakcja uważała za stosowne uczynić w stylizacji i pisowni, przyznając się otwarcie do „nie wprawnego“ swego pióra. Na próbę podajemy tu jeden z tych listów, ośmielając się przyłączyć doń niektóre nasze uwagi.

„Mam lat ośmnaście — pisze nam oryginał jednej fotografji — i dotychczas jestem nie zamężną.“ Powiemy nawiasem, że wszystkie korespondentki rozpoczynają swoje rysopisy od wzmianki, że mają lat ośmnaście; jest to bowiem właściwością osób „dotychczas“ niezamężnych, że miewają najczęściej lat ośmnaście. — Rzecz szczególna, że tak zresztą kapryśna moda, pod tym względem nigdy się nie zmienia!... Dalej czytamy w tym liście: „Mam oczy niebieskie, spojrzenie łagodne i smętne, nos, usta i uszy małe, płeć białą, włosy ciemne, twarz okrągłą, wzrost średni. Lubię wesołość. (A pocóż mieć spojrzenie „smętne?“) i nie zniosłabym nigdy nudnego i gderliwego męża. (A od czegoż spojrzenie „łagodne?“). Otrzymałam wychowanie staranne, częścią w domu, częścią w konwikcie pani Y. Uczyłam się jeografji, botaniki, osteologji i estetyki, czytałam Mickiewicza, Słowackiego i Pamiętniki szatana, które są bardzo zabawne. Mama powiada, że powinnam koniecznie już raz wyjść za mąż; ale ja mężczyzn nienawidzę, bo to są sami egoiści i wszystkie żony są „ofiarami.“ (Mój Boże! ośmnaście lat, i tyle pesymizmu!) Jednakowoż mama tak chce, i rada-nierada muszę zostać

[7]) Przekład niemiecki tak jest zatytułowany: *„Deutsche verbesserte Uebersetzung der Bücher des* Zoroaster. *1 Th.* Zen-Dawlasta (*das Leben-Gebende.*) *Zur Erleicht. der 1 Aufl.“ Berlin* 1864 Haude et comp. Spener 8. str. VII. i 248.

mężatką, skoro mi się kto oświadczy. Chciałabym tylko, żeby był przystojny i do rzeczy, bo ja brzydkich i głupich mężczyzn ogromnie nie cierpię.“ (Jak widzimy, korespondentka nasza, która w ogóle, jak powiada, nienawidzi wszystkich mężczyzn, ma oprócz tego bardzo uzasadnioną specjalną antypatję do mężczyzn brzydkich i głupich.) „Jeżeli pan zamieścisz mój opis w Nowinach, wypraszam sobie jak najmocniej wszelkich złośliwych dodatków do mojej fotografji, bobym panu oczy wydrapała.“ (Aj, aj! co za drakoński przepis prasowy!) „P. S. Czy nie możnaby wiedzieć, kto jest ta pani A., której fotografja była w trzecim numerze Nowin? Zapewniam pana, że nie jestem ciekawą; ale chciałabym wiedzieć, czym dobrze zgadła. Zaręczam, że nikomu nie powiem, chyba mamie.“

Piękna korespondentka nasza zapomniała, że nie znając jej adresu, nie możemy odpowiedzieć na jej zapytanie; zresztą autor niniejszych fotografij jest z natury swej człowiekiem bardzo dyskretnym; a prócz tego pani A. prosiła go o zachowanie jej nazwiska w tajemnicy, pod karą sroższą jeszcze, niż wydrapanie oczu. Biada wszystkim piszącym, skoro emancypacja kobiet tak dalece wejdzie w życie, że kobieta będzie mogła zostać prokuratorem, powołanym do czuwania nad prasą! Spieszmy się skończyć nasze fotografje przed tym fatalnym terminem.

Chętnie podalibyśmy i resztę nadesłanych nam fotografij panien; ale te tak są podobne do siebie, że szkice nasze stałyby się zbyt jednostajnymi. Wszystkie mają kaftaniki i spodniczki w zęby, fryzury podług najnowszej mody i nienawiść do mężczyzn brzydkich a głupich, i wszystkim powiadają mamy, że już im czas iść za mąż.

Pójść za mąż, jest to rzecz dosyć prozaiczna; wraz z nią ustają bowiem wszystkie sny i marzenia z epoki panieństwa. Dla jednych stają się rzeczywistością, dla drugich ulatują na zawsze i ustępują miejsca gorzkim zawodom, troskom i boleściom. Mimo to jednak, dopiero zamążpójście pozwala nam utworzyć sobie dokładne wyobrażenie o kobiecie. Panny są wszystkie podobne do siebie i słyszymy o nich najczęściej tylko z ust wielbicieli mnóstwo rzeczy pięknych bardzo i chwalebnych. Każdy wielbiciel patrzy zaś przez jedne i te same różowe okulary na przedmiot swoich gorących zapałów, a dopiero gdy zostanie mężem, przestaje nosić te okulary, i staje się autentycznem źródłem, z którego można czerpać wiadomości pewne i żadną młodzieńczą fantazją nie ubarwione. Zresztą często sam mąż, jako wybraniec serca czy rozumu, najlepszem jest świadectwem o sercu i rozumie kobiety.

Mamy n. p. w albumie naszym fotografję pani B. Póki była panną, uważano tylko, że jest piękną, wesołą, wykształconą, że tańczy doskonale i że trudno pozyskać jej względy, bo oblężona chmurą wielbicieli, mogła zrobić jak najlepszy wybór. Wybrała sobie pana B. który ma piękną pozycję w świecie, jest dobrej tuszy, posiada dobry apetyt i wszelkie środki, by go zaspokoić. Przyjaciele jego twierdzą, że gdyby Bertold Szwarz nie był wynalazł prochu, pan B. byłby go również nie wynalazł. Mówią także, że gdyby los ojczyzny znajdował się w jego pugilaresie, nie wyjąłby go z kieszeni; ale natomiast ilekroć muza dramatyczna, osobliwie niemiecka, po za sceną zażąda ofiar z kuropatw i szampana, i z najświeższych artykułów Kühmajer, pugilares pana B. jest zawsze w pogotowiu. Co do tego ostatniego punktu, pani B. okazuje się zawsze bardzo drażliwą; w ogólności jednak zadowoloną jest ze swego męża, i znajduje, że jest zawsze prawie taki sam, jakim był przed ślubem. Widzimy, jak mało tej pani potrzeba do szczęścia. Kilka set złr. rocznie na garderobę, dobre pomieszkanie, piękne meble, życie wygodne, i mąż, który się nią jak najmniej zajmuje, ale przecież coś znaczy w świecie — oto perspektywa, dla której porzuciła stan panieński, perspektywa tak przyjemna, jak widok dobrze uprawionego ogrodu z warzywami, w którym nie ma miejsca na rzeczy tak niepotrzebne, jak n. p. kwiaty; ale za to mnóstwo grządek z kalarepą, szparagami, rzodkiewką i sałatą. Pani B. jest kobietą praktyczną!

Pani C. dziwi się temu; nie może pojąć, jak można się zadowolić życiem, które nie jest lotną wędrówką motyla po kwiatach. Pani B. nie wymaga od swego męża, by jej pomagał marzyć, zachwycać się i smucić na przemian, bo zresztą sama nigdy nie marzy, nie zachwyca się i nie smuci. Pan C. zaś musi znosić ciągle wymówki, że zaniedbuje swoją żonę. Pan B. idzie oglądnąć „Die schönen Weiber von Georgien“, podczas gdy pani B. ma w domu gości na herbacie; pan C. zaś czeka na herbatę, podczas gdy jego żona śpiewa przy fortepianie, albo czyta najnowszą powieść francuzką. Nadaremnie wziął kapelusz i chciał wynieść się cichaczem: pani C. dostała nerwowego bolu głowy, który ją robi tak wymowną, że biedny mąż bezskutecznie wysypuje cały wokabularz słodkich wyrazów, które umie na pamięć. Gorzkie wyrzuty i rozpaczliwe łkania nie ustają, ból głowy wzmaga się; pan C. znosi to wszystko cierpliwie, i idzie nakoniec spać — bez herbaty. I to powtarza się codzień. Pani C. potrzebuje koniecznie kogoś, co by dzielił jej wrażenia i słuchał wylań jej serca, a tym kimś z natury rzeczy jest mąż. Zobaczymy, jak długo wytrwa w tej służbie.

Kronika artystyczna.

Teatr i parę koncertów, oto wszystko co pozostało nieszczęsnemu kronikarzowi artystycznemu do ugotowania polewki kronikarskiej. Żal mi kronikarza, żal mi i ciebie, szanowna publiczności!

W ten sposób nastroiwszy lutnię, rozpoczynam mój lament kronikarski.

Tym razem zacznę go jednak od nuty wesołej. Teatr nasz lwowski zrobił bez zaprzeczenia niezmiernie korzystny nabytek w osobach panien: Goreckiej i Bieńkowskiej. Nie przemawia tu w tych słowach wrodzona mi słabość dla płci niewieściej, z którą ukrywać się nie mam powodu; ale przeciwnie, bezstronne ocenienie sił dramatycznych obu tych aktorek. Panna Gorecka występowała dotąd w dwóch tylko rolach: Gryzeldy w dramacie tegoż imienia i Marji w Domach Polskich XVII (?) wieku. Ujmująca powierzchowność, ogromna skała głosu, piękność postawy i ruchów—są to zalety niezmiernie ważne dla pierwszej aktorki, i te zalety właśnie posiada panna Gorecka; ale, jakkolwiek ważne są to akcessorja, nie stworzyłyby one jeszcze artystki, nie wydałyby gry artystycznej, gdyby nie działały na widzów w połączeniu z prawdziwem artystycznem przejęciem się rolą, jednem słowem, gdyby były pozbawione artyzmu. W pannie Goreckiej, która w Gryzeldzie umiała zatrząść sercami widzów, która w jeden krótki wykrzyknik umiała artystycznie zakląć tyle boleści i przerażenia, witamy artystkę i to artystkę tragiczną. Z żalem widzieliśmy ją występującą w lichej ramocie dramatycznej, jaką bez zaprzeczenia jest dramat p. Majeranowskiego; jednak i tutaj dała dowody, iż godniejszą jest lepszych ról, niż córki Miecznika w niefortunnym dramacie. Panna Bieńkowska, w roli pazika była miłą i słodką jak cukierek, i zdaje mi się, że w takich rolach nie dałaby się wyprzedzić nikomu. W obu tych sztukach nie można nie podnieść gry p. Królikowskiego, który istotnie jest prawdziwym luminarzem naszego teatru.

„Złote runo“ po raz pierwszy dawane na scenie tutejszej jest nowym utworem i — bardzo słabym. Jest to udramatyzowana powiastka na temat stary, bardzo stary: co więcej waży: miłość, czy pieniądze? Ale starożytność tematu nie jest jeszcze wcale zarzutem; zarzut leży w sta-

rym sposobie opracowania przedmiotu. Ładny język i nieliczne epizody dowcipne robią tę sztukę znośną do pewnego stopnia. W ogóle, wieje z niej zapach rumianku, lipowego kwiatu i... chciałem powiedzieć, katechizmowej moralności.

Koncert pana Szczepanowskiego jest smutną illustracją zawodu i zawodów artystów naszych. — Pusta galerja, zrzadka zajęte krzesła, pomimo przyjemnej i pociągającej gry artysty, oto krótkie sprawozdanie z koncertu, które jednak dobrze go charakteryzuje. Gra na gitarze, najmniej koncertowa ze wszystkich muzyk na świecie, miała jednak pewien właściwy sobie urok, szczególnie w obec pustej prawie sali. Spiew panny Pachman był również jednym z przyjemnych epizodów koncertu. Odznacza się on siłą akcentu, szczególnie w wysokich dźwiękach; w niskich jest nierównie słabszym i przechodzi nawet w falsety. Deklamacja pana Szymańskiego (Grób Agamemnona) była wcale nie złą, uwzględniając całą trudność deklamacji w tym jenjalnym utworze naszego Słowackiego. Nie miejsce tu mówić o samym utworze, który jeśli nie zupełnie dobrze był zrozumiany przez deklamatora, to tem mniej przez publiczność, która się dość śpiąco znalazła w obec niego. A i przez krytyków i sprawozdawców, powiedziawszy prawdę, był... ale dalej nie powiem, bo chcę żyć w zgodzie ze wszystkimi, jak na dobrego obywatela przystało.

O koncercie Towarzystwa muzycznego, któren się odbył d. 16. b. m. na cel dobroczynny cóż powiedzieć można? Gdzie jest p. Mikuli i jego Towarzysze, tam ma miejsce gra dobra; a w takim razie kronikarz pokornie zchyla głowę i za innymi powtarza: „dobrze!" Koncerta Towarzystwa muzycznego, w takim składzie jak dzisiejszy, na długo pozostaną chlubą naszego miasta.

Czy wolno mi na tem miejscu wspomnieć o operze — niemieckiej? Nie znudzę czytelników, zapisując westchnienie błagalne do cieniów wielkiego mistrza: Niechaj duch Majerbera przebaczy p. Blumowi ostatnie postawienie „Afrykanki." Było ono tak nieszczęśliwe, że przy najwyższem ocenieniu nie warte jest części odsetków od rocznej sumy, którą pobiera dyrekcja z fundacji Drohowyżskiej — grosza sierot, ginącego w wielkich kieszeniach naszych cywilizatorów. Pierwszy tenor udawał, że śpiewa; a chóry, hałaśliwe chóry przyprawiły publiczność o strzykanie w uszach... I to się zowie — operą!...

Na tem kończę moją kronikę; a dla czego tak śpiesznie to robię, o tem mam zamiar uwiadomić szanowną publiczność na początku następującej kroniki. *El.*

Korespondencje.

Warszawa *dnia 4. listopada 1867.*

Nie małe to zadanie korespondenta z nieszczęsnej stolicy Polski. Czuję całą jego ważność, i obawiam się czy mu w zupełności odpowiem; to tylko dodaje mi otuchy, że „Nowiny" wasze, nie potrącając o politykę, ujmują ważności korespondencjom.

Cóż wam mówić o Warszawie? Już nie pomnę kto nazwał naszą stolicę kameleonem; częściej dostaje się jej nazwa modnej zalotnicy... oba epitety zasłużone pod wieloma względami; ubliżyłby jednak naszemu miastu, ktoby mu odmówił największej zalety: gotowości do ofiar i poświęceń wszelkiego rodzaju. Przypomnijmy sobie Warszawę w wigilją rewolucji listopadowej. Był to Babilon! A jednak nazajutrz te lwy salonowe, modni dandysi z jakimże zapałem biegli na bagnety moskali; a wczoraj jeszcze tańczące panie, czy wypielęgnowanemi rączkami nie sypały szańców i okopów?... Rok 1863, znowu to samo. Świat sądził, że Warszawa jest zgnuśniałą rospustnicą — a jej młodzi synowie z pięściami stanęli przeciw stotysięcznej armji!... Wiele złego mamy w naszem mieście; ale serce w niem bije, i dusza jest, którą wróg zabić nie zdoła. Jednak, mimo wszystko, boleć musimy nad tem, co się u nas dzieje z ujmą dobrej sławy narodu. Warszawa w dniu jednym jakby zapomniała o krwawych ranach, świeżo zadanych ojczyźnie! Strojna i dworna, nazajutrz po stypie pogrzebowej, rzuca się w wir szalonego wesela, i nie rzadko wśród zabaw z wrogami zapomina o narodowej godności. Nędza w kraju ogólna, żałoba niemal w każdym domu — a nasze salony jaśnieją przepychem; marnotrawna ręka rozrzuca złoto nędznym przekupniom, zamiast ratować brata pozostającego w nędzy. Na stroje wydać tysiące niczem! ale ofiarować grosz na cele ogólnego znaczenia, wesprzeć sztukę, literaturę, pracowników na polu nauk — na to nasi panowie pieniędzy nie mają. I to jest grzech! i kara nas nie ominie za to, że zapominamy o narodowych obowiązkach, że nic nie czynimy dla kraju, nic dla chwały imienia polskiego. Czy i u was tak samo?... O, nie zapominajmy, że ostatnim skarbem, który nam pozostał jest: słowo ojczyste; pielęgnujmy go, wspierajmy rozwój literatury, bo inaczej spotka nas zagłada wieczysta!...

A teraz do rzeczy miejscowych. Rozpocznę od najżywotniejszej, a smutnej: ruch księgarski prawie żaden; nakładów nowych tak dobrze jak nie mamy; nawet już rozpoczęte wstrzymano, z obawy strat niechybnych; o książkę nikt nie zapyta, publiczność ogranicza się tylko na pisma czasowe; z nich bierze pokarm duchowy, one są alfą i omegą dzisiejszego piśmiennictwa. Teatr Moskale zniszczyli tak, że dziś karmi publiczność samemi niedokwasami francuzkiemi; kiedy niekiedy tylko zjawi się jaka nowość, jak Złoty młodzieniec, komedja Bogusławskiego, podobniuteńka do innych utworów tego pisarza: fabuła nie wymyślna, charakterów żadnych, parę dowcipów — to suma treści komedji, która nikogo nie zbuduje, a nie jednego zgorszy żarcikami w guście francuzkim! — Moskale zniszczywszy operę polską, dają nam natomiast włoską, podejrzanej dobroci, i częstują biedną publiczność linoskokami, psami tresowanymi, pseudo Blondinami i etc. Chodzi im oto byśmy się bawili! — Wystawa sztuk pięknych nie odznacza się doborem arcydzieł. Wyjąwszy madonnę Strzałkowskiego, reszta są rzeczy mierne.

Miasto nasze zmienione do niepoznania; utrzymują że wypiękniało... Co do mnie nie przestanę żałować, że poważna stolica traci swe cechy charakterystyczne, i staje się podobną do innych, gdzie ręka despotyczna starła miejscowe oznaki, nadawszy miastu pozor miarowy, nużący swą jednostajnością.

Rozmaitości.

— Jakaś fatalność cięży nad „Nowinami." Pierwszy numer zabrała nam Policja — za niedopełnienie małej formalności. Dz. Lit. zagniewał się na nas — także za nieformalność: ośmieliliśmy się stanąć obok niego. Poczta wstrzymała rozesłanie 3. numeru — już nie wiemy za co. Pewna pani rozgniewała się za „Fotografję..." Słowem, gdzie spojrzysz: kwasy, dąsy, przykrości. Pomimo to kronikarza nie opuszcza nadzieja, że z nowym rokiem wszystko się odmieni! Nieprzyjaciele zmiękną, przyjaciół przybędzie, akuratność poczt pozbawi nas przyjemności spotykania się z reklamacjami, pamięć na „nożyce," zniweczy dąsy za niewinne obrazki, i tysiące czytelników w spokoju ducha odczytywać moje „Rozmaitości." Mam dobrą otuchę, a ta mię nigdy nie zawiodła!

— Dyrekcja teatru krakowskiego wysłała swoim kosztem p. Rapackiego i p. Hofmanowę, dla obaczenia w Burgu sztuk: Intrygę i Miłość, Uczniowie Karola i Dziewicę Orleańską. Staraniem dyrekcji ustanowiono emeryturę, do której także artyści prowincjonalni należeć mogą.

— Najnowszego wynalazku broń palna p. Dreyse, tak zwana granatna, zatrudnia obecnie jego własną fabrykę w Sömmera. Ma ona być, jak piszą dzienniki pruskie, w niektórych pułkach wojska królewskiego, na próbę wprowadzoną; donioslość strzału dochodzi od 1500, do 1700 kroków, i jak zaręczają, skutek ma być nadzwyczaj straszliwy.

— W Berlinie przedstawiono temi dniami po setny raz operę Gounoda p. t. „Faust i Małgorzata.“

— W Paryżu umarł prezydent Towarzystwa pisarzy dramatycznych, znany zaszczytnie uczonej publiczności, p. Ferdynand Langle 19. zeszłego miesiąca.

— Pewnemu konsulowi zmarłemu w Chartum w Afryce postawiono piękny marmurowy pomnik. Miejscowa ludność nabyła przekonania, że pomnik jest dobrym bogiem, i tłumnie cześć mu oddaje. Czego nie miał za życia, to zdobył konsul po śmierci!...

— Holendrzy w oryginalny sposób oduczają leniuchów od żebraniny. Pojmanego na gorącym uczynku sadzają do studni, w której woda sięgając winnemu po szyję, stopniowo przybywa, i grozi zalaniem, jeżeli nie weźmie się on do pompy dla własnego ratunku. Poważni holendrzy, siadłszy u studni, z zimną krwią robią zakłady.

— Stawię dukata — woła jeden, — że ten leniuch raczej zginie, aniżeli weźmie się do pompy. — Idzie! — odpowiada drugi... A kąpiącemu się ciarki przebiegają po skórze, bo z wodą nie ma żartów!... Dalejże do pompy, chociaż długo udawał chorego i kalekę. Po kilkogodzinnej robocie, wydostany ze studni, nie ma przykładu, by wrócił do niej raz drugi.

Trochę barbarzyński, ale niezawodny sposób na hultajów, żyjących cudzym kosztem.

— W Paryżu sprzedają fiołków za kilka miljonów franków, a Towarzystwo dostarczające najemnych tancerzy na wieczory prywatne zarabia do 43,000 fr. rocznie. Tańce stanowczo zastąpione zostały przez grę w karty. Najemni tancerze powinni mieć buty lakierowane i białe rękawiczki, a znaczna ich liczba konsumuje w ciągu wieczora łakoci za 3 franki. Gdzie idzie społeczeństwo? O czasy! o obyczaje!

— Podług statystyki wypada w Anglji jeden morderca na 675.000, w Hollandji jeden na 163.000, w Prusiech jeden na 100.000, w Austrji jeden na 77.000, w Hiszpanji jeden na 4.000, a w państwie Kościelnem jeden na 750 mieszkańców!

— Najstarszy dyrektor teatru w Wiedniu p. Groll, który 55 lat przewodniczy scenie teatru tak zwanego Meidlingera, święci swój jubileusz, na który zamierza się zgromadzić bardzo wiele znakomitości i talentów, którzy pod jego przewództwem rozpoczęli swą karjerę artystyczną; nie mniej bowiem jak 3600 młodych ludzi wyszło na szeroki świat artystyczny z pod jego kierownictwa w ciągu lat 55.

— Profesor Żmurko został członkiem - korespondentem Towarzystwa Naukowego krakowskiego.

— Revue des deux Mondes pismo mające największą powagę w Europie nadużyło dobrej wiary czytelników, podając im, jako nowość, przedruk powieści pani G. Sand, zamieszczonej przed siedmiu laty w tem samem piśmie, osobno odbitej w Brukselli, i nareszcie przed sześciu laty drukowanej w odcinku Indépendence belge.

Uderzającą rzeczą jest, że nikt nie dostrzegł nadużycia! — Otóż mamy próbę jakie wrażenie robią przechwalone utwory francuzkie — lat kilka wystarcza, by je zapomnieć i czytać jak nowe.

— Pewne przedsiębiorstwo zamierza urządzić na wiosnę drugi podwodny telegraf, mający łączyć Europę z nowym światem. Linja będzie prowadzoną z Brest we Francji, najpierw do wysepki Miquelon w pobliżu New Foundland, następnie do Kanady i Stanów Zjednoczonych.

— Towarzystwo Naukowe krakowskie wybrało ponownie prezesem swym dr. J. Majera.

— Wydawnictwo kalendarzy zajmuje nieposlednie miejsce w ruchu księgarskim lwowskim; panowie wydawcy jednak nie zrozumieli dotychczas całej ważności kalendarzy. Wszak to jedyna książka, która jest w ręku tych nawet, którzy innej przez długie lata widzieć nie chcą, lub nie mogą; otóż należałoby skorzystać z tego i kalendarze uczynić zbiorem rzeczy, które zdołałyby rozbudzić zamiłowanie do czytania, zainteresować tych, którzy obojętnie patrzą na rozwój piśmiennictwa ojczystego, albo ważności jego nie pojmują. Tymczasem kalendarze nasze nie mają prawie żadnej wartości literackiej; ograniczając się na informacje, karmi duchowej nie podają, o rozbudzeniu zamiłowaniu piękna mowy w nich nie masz; słowem: kalendarze lwowskie nie tylko, że nie wytrzymują porównania z zagranicznymi, ale ustępują warszawskim, chociaż je cenzura nie gniecie. Wina to wydawców, że do układu części literackiej kalendarza, nie powołują ludzi odpowiednio uzdolnionych, ale poprzestają na przedruku lichych wierszyków i powiastek. Pod względem informacyj dokładnym jest kalendarz Haliczanin, od kilkunastu lat wydawany przez firmę Pillerowską.

— Nowy kalendarz Wilda p. t. Pielgrzym po ziemiach polskich ma zakrój poważny; widocznie jednak, że jest tylko początkową próbą; inseratom poświęcono tu daleko więcej miejsca, aniżeli rzeczom bardziej od nich pożytecznym.

— (Teatr). *Złote runo.* Obraz dramatyczny w 3 oddziałach przez Zofię Meller.

Przebaczcie piękne czytelniczki, że spóźniłem się ze sprawozdaniem; ale miałem do tego wiele powodów, a najważniejszym jest ten, że sam zmartwiony nie chciałem martwić płeć brzydką wiadomością o łaźni, którą im autorka sprawiła. Broiliśmy, broili, aż oto teraz przyszło gorzko odpokutować!... A w rzeczy samej winni nie jesteśmy! Chcemy was panie widzieć w dostatkach, strojnych w złoto, brylanty; a więc szukamy tych akcesorjów, bez których nie wiele z was szczęście znaleść potrafi. Nie dziwię się też i Leonowi (p. Wilkoszewski), że porzucił kochającą go ubogą Teodorę (pani Nowakowska) dla bogatej i brzydkiej (tak w sztuce)! pułkownikowej (p. Linkowska), która znów jego porzuca, dla biednego kochanka znajdującego się za kulisami (znowu tak w sztuce)! i przyprawia kawalera o rozpacz, z której ratuje go przyjaciel Leon (p. Królikowski) nic dobrego (i to także w sztuce)! wiadomością, że Teodora odziedzicza po zmarłym swym stryju... nie na długo jednak, bo Leon dowiaduje się o pomyłce, dostaje solennego odkosza, wychodzi za drzwi, a Teodora za mąż za doktora Bolesława (p. Szymański) ku wielkiemu zadowoleniu swej matki (p. Hubertowa). Taka jest treść sztuki. Dużo w niej usterek, wiele braków; ale powiem pod sekretem, żeby mię autor kroniki artystycznej nie usłyszał, że i zalet ma ona sporo. Tendencja piękna, język poprawny, lekkość i szyk w układzie, dużo dowcipu. Wyborny, choć nieco w karykaturze skreślony charakter warszawskiego brukowca Leona; słowem jest wszelka pewność, że *Złote runo* utrzyma się na repertoarzu! a autorkę tylko zachęcić możemy do dalszych prac na polu dramatycznem. Większa znajomość sceny, poznanie estetycznych warunków sztuki, trochę mniej poświęcenia rzeczy dla tendencji z góry powziętej, a powitamy w pani M. autorkę, która doda życia martwej naszej dramaturgji.

Przedstawienie *Złotego runa* było wyśmienitem. P. Królikowski doskonałą grą sowicie zapłacił nam za swoje występy w dramatach, które — naszem zdaniem — są dlań mniej właściwem polem. Komedja i tylko komedja, — w niej p. Królikowski może dójść do mistrzowstwa. Panu Wilkoszewskiemu przeszkadzała chrypka; ale jak zwykle, grał bardzo dobrze. Nie mamy dość pochwał dla gry p. Nowakowskiej. Artystka ta stanie się ozdobą sceny polskiej, pozbywszy się maluczkiego braku: zbytecznego nacisku na pewne sylaby w słowie. Uwagę tę czyniliśmy p. Nowakowskiej dawniej w Dzienniku, i dziś ją powtarzamy, bo nam żal, że taka drobnostka psuje grę doskonałą. Państwo Doroszyńscy w małych swych rolach ubawili publiczność. Utalentowana ta para nie ma pola do popisu na naszej scenie. Nie przestaniemy powtarzać: prowincja wyrabia artystów. Rok pobytu w teatrze prowincjonalnym więcej znaczy dla młodego artysty, aniżeli dziesięć lat na scenie stołecznej, gdzie starsi artyści chyba wyjątkowo pozwolą młodszym spróbować swych sił we właściwej roli. Mamy bardzo dobry teatr prowincjonalny p. Sztengla. Jest on szkołą praktyczną, szkołą, którą gdy przebędą pp. Doroszyńscy niewątpliwie powrócą do nas artystami w całem tego słowa znaczeniu, czego im z serca życzymy.

Dla prenumerujących się na dodatek: **„Piosnka bez słów“ na fortepian**, przez J. Czubskiego.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.